TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie............$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 39. Chicago, Ill., Czwartek, 29-go Września, 1898. Rok XII.

Amalunga czyli córa puszcz.

Opowiadanie z czasów wojen pomiędzy Europejczykami a Indyanami w Ameryce Północnej.

(Ciąg dalszy)

— Panie pułkowniku — rzekł z cicha Henryk — pozwól że ucieknę.

Pułkownik aż się o krok cofnął.

— Kapitanie, niebezpieczeństwo zawróciło ci głowę!... Jakże mógłbyś o białym dniu, przy tak licznej eskorcie, myśleć o ucieczce?

— A jednak innej rady nie ma!

— Ale cię dogonią!

— Choćby i tak było, zawsze dla mnie niebezpieczeństwo nie mniejsze.

— Śmierć pewna! — wtrącił kapitan.

— Może odpowiedział Henryk — ale natenczas żółtobrzuchy krwi mojej nie zobaczą ani nie poczują, a przez to nasza cała kompania zostanie uratowaną.... Pozwól mi uciec!...

Kapitan w namyśle kiwnął kilka razy głową.

— Szlachetnym jesteś kapitanie — rzekł — i twe poświęcenie warte pochwały, Uciekaj więc i dałby Bóg, aby ci się ucieczka powiodła... Ale rumak twój nie wiele wart, weźmij przeto mojego konia, zostaw mi twego. Jeżli będzie możebnem, to mój Hektor cię uniesie.

Kapitan tylko wzrokiem mógł pułkownikowi podziękować, gdyż meksykańscy oficerowie zbliżyli się, podejrzywając tę rozmowę. Pułkownik z wymuszonym uśmiechem zmyślił powód rozmowy, a Henryk spokojnie odszedł, dosiadł konia pułkownika i wjechał na miejsce, które mu się w zabranej kompanii należało i które dotąd zajmował. Nikt, nawet właśni żołnierze, nie uważali zamiany.

Zagrały trąbki, i cały orszak ruszył naprzód. Niedługo Hektor zaczął dziwaczyć. To wierzgał, to się w bok rzucał, to stawał dębem, to się daleko w tył cofał. Henryk gniewał się na konia, klął, a Meksykanie się śmiali. O, gdyby oni byli wiedzieli, z jakiego powodu koń nie chciał być powolnym, jaki rozpaczliwy plan dojrzewał w duszy

kapitana, zapewne nie byliby się śmiali, ale świst kul byłby wyrazem ich usposobienia.

Jakiś zuchwały, bezczelnie wyglądający żółtobrzuch trzymał się ustawicznie w pobliżu Henryka. Jego złośliwie pałające oczy miał poczęści utkwione w niego, a poznać z nich było można, że coś niedobrego właściciel ich knuje. Był to Don Pedro, nieprzyjaciel Henryka.

Kapitan miał na niego pilne oko, ale na pozór udawał, że nań wcale nie zważa. Widział on dobrze, jak Pedro tedy i owedy sięgał do pistoletów, jakby się chciał przekonać, czy są na swem miejscu, a przytem za każdym razem rzucał na niego wzrok jadowitej żmii.

Tymczasem Hektor, koń kapitana, coraz więcej dziwaczył. Kapitan zresztą już byłby dawno zamiar swój wykonał, bo już żółtobrzuchy przyzwyczaili się do tego, że czasem go koń na kilkadziesiąt kroków w tył unosił, i trzeba było szarpania, głaskania i innych sposobów, aby go nakłonić do dalszego postępowania za orszakiem. Jednakże powierzchnia ziemi była do ucieczki niekorzystną. Widzieli też to Meksykanie, dla tego na pozostawanie jego w tyle nie zważali, właszcza, że sam zawsze dobrowolnie wracał.

Naraz powierzchnia stepu się zmieniła. W lewo i w prawo rozciągał się falisty step, bez drzewa, bez zarośla.

Henrykowi zapukało serce mocniej.

Koń, który przed chwilą był spokojny, nagle znowu począł się zrywać, dawać susy w bok, aż stawał się obok idącym i jadącym niebezpiecznym. Wyrwał się ze szeregu i na tyle orszaku rozpoczął znowu swe rwanie się, stawienie dęba, aż nagle niby strzała puścił się w daleki step.

W pierwszej chwili głośny śmiech odezwał się ze szeregu Meksykanów, a najbardziej śmiał się Don Pedro. Kiedy jednak Henryk ujechał już kilka set kroków, a koń ciągle biegł naprzód, otworzyły się wszystkim oczy i zrozumieli podstęp Henryka. Huk strzałów rozległ się po za uciekającym, ale go już żadna kula dosięgnąć nie mogła. Meksykanie zaprzestali strzelania, widząc, że go już nie trafią, ani nawet ściganie na nic się nie przyda.

Jedyny don Pedro, wściekając się ze złości, że mu ofiara uszła, zaprzysiągł się, że Henryka dopędzi i powiesi go na suchej gałęzi. Na czele kilku towarzyszów puścił się za uciekającym.

Wnet uciekający i ścigający skryli się za pagórkiem, a transport ruszył po krótkim wypoczynku dalej w swą drogę.

Henryk w krotce na swym dzielnym koniu znacznie pogoń wyprzedził. Kiedy jednakże obejrzawszy się, ujrzał za sobą swego śmiertelnego wroga, zwolnił Hektorowi biegu, chcąc się dać dogonić, a serce jego zawrzało zemstą i chęcią żółtobrzuchowi dać pamiątkę.

O ile przestrzeń pomiędzy Henrykiem a Pedrem się zmniejszała, o tyle ostatni tracił chętkę do ścigania. Poznać przecież musiał, że Henryk umyślnie wolniej jedzie, a jaki w tem ma zamiar, odgadnąć nie było trudno. Wiedział on, że Henryk ma silną rękę i bardzo celne oko, a nie mógł wiedzieć, czy czasem nie przy sobie pistoletów. Obejrzał się w tył, i ku swemu przerażeniu zobaczył, że towarzysze jego dawno się cofnęli i ani widnąć nikogo.

Cóż tu począć? Wdać się we walkę z Henrykiem? Do tego Pedro nie miał ochoty, wiedząc, że mu nie sprosta. Nie chcąc swego kosztownego życia napróżno narażać na niebezpieczeństwo, zwolnił także biegu swemu koniowi. Aby się jednak nie zdawało, że stchórzył, pozornie ścigał niby dalej.

Ale jakże się przeraził, gdy Henryk nagle zwrócił konia i galopem pędził na niego! Teraz szlachetny Pedro nie udawał już odważnego, tylko zwróciwszy także konia, uciekał, co sił koniowi starczyło. A naglił tak konia, że go nietylko bódł ostrogami, ale nawet żgał nożem.

Henryk zatrzymał konia i zaśmiał się na głos.

— Zobaczymy się jeszcze! — zakrzyknął. — Lecz strzeż się, żółtobrzuchu, bo będziesz wisiał na najwyższe topoli!

Pedro zapewne słyszał jeszcze to wołanie, ale oczywiście nie miał czasu na to odpowiedzieć.

Henryk też odwrócił się i wolno sobie jechał dalej.

— Szkoda — mówił sam do siebie —

że mi żółtobrzuchy odebrały pistolety, byłby Don Pedro zabrał ze sobą pamiątkę!

Nagle przyszło mu na myśl przeszukać siodło. Ku swej nieopisanej radości znalazł dwa śliczne pistolety, worek kul i róg z prochem. Radość jego nie miała granic.

— Pedro! Pedro! — zawołał — twoje szczęścia, że mi ta myśl prędzej nie przyszła do głowy' Ale jeszcze się zobaczymy!

Spokojny teraz przed pogonią, jechał zwolna stepem, tak pewny siebie, jakby się znajdował po stronie anglo-amerykańskiej.

II.

Tymczasem nie była to strona anglo-amerykańska, tylko jeszcze meksykańska. Tu i owdzie porozrzucane były zabudowania to krajowców, to osadników. Takie osady, zwane tam "hacienda", były Henrykowi niebezpiecznemi, albowiem wiedział, że po nich rozlokowana jest kawalerya meksykańska. Przeto unikał takich haciend, ile możności.

Wreszcie ujrzał się po stronie teksańskiej. Z pewnem uczuciem błogości zapuścił swój wzrok w niezmierzony step.

Europejczyk nie ma wyobrażenia, co to jest step amerykański. Jestto morze łąk, na którem chyba tu i tam stoją kępy drzew, niby wyspy na morzu. Na pograniczu ciągną się znowu lasy dziewicze, które dopiero dotknęła siekiera europejska. Step tylko tu i tam przeszywa rzeka to węższa, to szersza. Wszędzie jednostajność, wszędzie trawa, w niektórych miejscach wyższe o wiele od człowieka, a nikt jej nie kosi. Stada bawołów, dzikich koni, zwanych mustangami, trawy wszystkiej nie zjedzą, dla tego co rok usechłszy, opada, i tak tworzy dla nowej trawy pożywny nawóz.

Dzikich koni w Ameryce nie było. Europejczycy wprowadziwszy konie, puścili zapewne wiele na wolność, które się w niezliczonej liczbie wzmożyły. Indyanie pierwotnie koni nie znali. Kiedy Europejczycy zacięty bój poczęli wieść z Indyanami, może byliby początkowo ulegli. Ale jakże się Indyanie przelękli, ujrzawszy jazdę europejską! Sądzili oni, że koń i jeździec, to jedno zwierzę. Przerażeni widokiem tak straszliwych potworów, jedni pierzchli, drudzy prawie dobrowolnie szli pod miecz owych mniemanych straszydeł.

Dziś Indyanie znają użytek konia, to jest wyłącznie tylko do jazdy, gdyż Indyanin nie trudni się rolnictwem. Koń dla niego jest całem bogactwem, całem szczęściem. Są też Indyanie wyborni jeźdzcy, chociaż siodłem i strzemieniem gardzą.

Licznie na stepie rozrzucone są wilki, i to dwojakie rodzaju, białe i szare. Pojedyńczo wilk stepowy nie jest niebezpiecznym, ale w gromadzie staje się bardzo niebezpiecznym, mianowicie wilk biały.

Dalej w trawie stepowej roi się pełno wężów jadowitych, z których najniebezpieczniejszym jest grzechotnik. Nazwisko grzechotnika ma ztąd, że na końcu ogona ma kilka gruchawek, podobnych do wydętej uschłej pęcherzyny. Jestto wielkiem szczęściem dla stworzeń, bo wąż już zdala zdradza się tym osobliwszym grzechotem. Jednak nie zawsze to bywa.

Aby pozbyć się wężów i wilków, Indyanie zapalają step. Wtedy całe morze płomienia obejmuje czasami kilkanaście, kilkadziesiąt mil przestrzeni. Płomienie idą ustawicznie naprzód, pozostawiając za sobą zpopieloną trawę, aż wreszcie albo natrafią na rzekę, albo je też deszcz zagasi. Biada! kogo na stepie pożar taki natrafi!

Lecz wróćmy do Henryka.

Zwolna i spokojny przed niebezpieczeństwami jechał coraz dalej, gdyż naraz przed sobą na horyzoncie ujrzał wzbijający się ciemny obłok. Burza nadciąga, pomyślał sobie, i począł się oglądać, czy nie zobaczy gdzie jakiego schronienia. Wiatr wiał ze zachodu, a ku południowi były wzgórza, a za niemi widać było w oddali czubki jakiegoś małego lasku. Henryk jednakże nie myślał zapuszczać się na te wzgórza, gdyż czy tu, czy tam, przed burzą się nie uchroni.

Tymczasem koń jego stawał się coraz niespokojniejszym, obłok ze szaloną szybkością się zbliżał, a ciemny, jak smoła. Wreszcie jakiś dziwny zapach rozszedł się w powietrzu.

Henryk wstrzymał konia, chwilę popatrzył na ów obłok, który długą linią szedł prostokątnie do jego drogi.

Naraz Henryk zadrżał:

— To pożar stepowy! — zawołał przerażony.

Nie wstrzymując się ani chwili, zwrócił konia ku wzgórzom na południe i pędem wichru pognał naprzód. Hektor sam snadź znał niebezpieczeństwo zagrażające mu od pożaru, więc dobył wszelkich sił, i niezadługo stanął ze swym jeźdźcem na wzgórzu.

Lecz Henryk zatrzymał tu nagle konia, a głośny okrzyk zgrozy wydobył się z jego piersi.

Cóż bo wiem ujrzał? Przed nim u stóp wzgórza znajdował się obóz indyański, i około trzydziestu Indyan Komanszów, najzaciętszych wrogów "bladolicych" Europejczyków siedziało w koło ogniska, a konie ich pasły się tuż obok, trzymane na linach do kołków umocowanych.

Indyanie, skoro tylko Henryka dostrzegli, błyskawicą dosiedli koni, wydawczy długi, przeciągły okrzyk.

Położenie Henryka było bardzo niebezpieczne. Zjednej stroni chciwi krwi jego Komansze, z drugiej pożar, który bałwanił swe płomienie coraz bliżej. Cóż począć? dokąd uciekać? Bronić się nie można, ucieczka w prawo i w lewo nie możebna. Namysł nie trwał długo, bo nie było czasu do tego. Szybko zwrócił więc konia i popędził galopem wprost na płomienie. Milszą mu bowiem była śmierć w płomieniach, aniżeli mękami strasłliwemi poprzedzono śmierć z ręki dzikich Komanszów.

Może byłby uciekał w prawo lub w lewo, ale to dla tego było niebezpiecznem, ile że Hektor był nadto zmęczony i upadał już na siłach, zatem Indyanie na swych szybkich koniach, zatem mieliby łatwą pogoń. Przebycie ognia mogłoby go jeszcze uratować, podczas gdyby się dostał w ręce Komanszów czekałaby go niechybnie śmierć w męczarniach.

W momencie, nie oglądając się wcale, stanął tuż po nad linią ogniową. Płomienie syczały, piszczały, trzeszczały i coraz się zbliżały. Rumak stanął i począł wierzgać, nie chcąc w płomienie skoczyć. Henryk więc co żywo zawiązał koniowi oczy, nakrył mu pysk, a potem wspiął ostrogami. Koń wspiął się wysoko, z potem skoczył w płomienie.

W krotce płomienie zakryły jeźdźca i konia przed oczyma zdumiałych Komanszów, którzy przystanęli wydali długi, przeciągły, przeraźliwy okrzyk, a potem sami się cofnęli przed niebezpieczeństwem.

Była to jazda na życie lub śmierć. Zasyczało i zatrzeszczało, albowiem płomienie zajęły włosy i jeźdźca i konia.

Ciemność straszliwa, a brak oddechu ścinał piersi jednemu i drugiemu. Koń parzony i pieczony sadził naprzód jak szalony. W momencie przebiegł linią płomieni, teraz tylko na rozpalonej sadzi powierzchni i w dymie. Rozpalona ziemia nagli go do tem szaleńszego biegu, lubo ledwo jej kopytami dotyka.

Wreszcie... o radości!... dym ustał, a koń nagle przystanął, drżąc na całym ciele. Henryk oczy otworzył, i ujrzał się na murawie tuż przy małym strumyku.

— Ocalony! — krzyknął z radością — dzięki ci Boże!

Po tych słowach zeskoczył z konia, zdjął mu tlącą chustkę z oczu i z pyska, a potem wprowadził w strumień. Koń zanurzył chciwie spalone nozdrza w chłodną wodę, a Henryk starł z niego opaloną sierć, a potem wykruszył swe zwęglone włosy.

Spojrzał po za siebie. Płomienie już były pod wzgórzem i tam wzbijały się do wysokości wieży, jakby się gniewały, że nagie, z trawy ogołocone wzgórze stanęło im na przeszkodzie.

Teraz chciał sam wnijść we wodę, aby się ochłodzić, gdy nagle jakieś dziwne usłyszał warczenie. I Hektor wzniósł głowę ze znakami okropnego przerażenia.

Cóż to? jakież grozi im niebezpieczeństwo?

Obejrzał się na około. O zgrozo! wielka gromada wilków ich otacza. Uciekły one też przed płomieniami i schroniły się nad brzegiem strumienia. Lubo ich płomienie tu nie dosięgły, jednakże żar wzniecił ich pragnienie, a ponieważ płomienie je gnały może wiele, wiele mil drogi, przeto głód ich był nie mały. Zaspokoiwszy pragnienie w strumieniu, chciały teraz i głód zaspokoić. Ujrzawszy konia i jeźdźca, uważały obu za swą pewną zdobycz.

Z oczyma pałającemi wraz się zbliżały. Było ich do pięćdziesiąt sztuk, a warczenie ich przerażało tak jeźdźca, jak konia, który teraz więcej drżał, aniżeli po swym szalonym biegu.

Wilki coraz się zbliżały i już są tuż, tuż. Jedna wielka bestya wyskoczyła z gromady i chciała skoczyć koniowi do gardła. Henryk w mgnieniu oka wskoczył na grzbiet konia, a ten jednym susem strumień przeszkoczył. Wilki widząc uchodzącą zdobycz, zawyły przeraźliwie i skoczyły za uciekającymi

I znowu nastąpiła gonitwa straszliwsza aniżeli z Meksykanami. Hektor już ostatnie wytężał siły, aby wilkom uciec, i w samej rzeczy udało mu się je wyprzedzić. Ale gromada coraz się powiększała, albowiem wycie pierwszych wabiło inne wilki. Gromada niby nawałnica jaka ciągnęła za Henrykiem, który z przerażeniem spostrzegł, że znaczna ilość białych wilków przyłączyła się do szarych.

Przerażenie jego tem było większem, gdy spostrzegł, że koń coraz więcej słabnie. Wycie wilków tymczasem stawało się coraz bliższem, a kiedy się obejrzał, ujrzał ich w bardzo groźniej blizkości. Na przedzie biegły białe wilki, których wywalone czerwone, krwiste ozory i czerwone krwiste ślepie przerażająco odbijały od białej sierci.

— Spiesz się, spiesz, moje dobre zwierzę!— zachęcał Hearyk rumaka — tam oto niedaleko jest las, gdy się doń dostaniemy, będziemy obaj ocaleni.

Koń, jakby jeźdźca zrozumiał, dał szalony skok naprzód, lecz to wysilenie nie długo trwało, gdyż po niem coraz widoczniej zwalniał. Cwał jego stawał się coraz dłuższym, a sprężytość nóg tak zesłabła, że je ledwie mógł od ziemi podnosić. A wilki coraz bliżej, coraz bliżej!... A do lasu jeszcze daleko!...

W tem na uboczu ujrzał Henryk mały gązek drzewa. Nie było ich wiele, jednakże mógłby tam znaleść ocalenie. Może udałoby mu się wdostać na jakie drzewo, ale cóżby się stało z Hektorem? Może on pomyślał Henryk, pozbywszy się ciężaru, zdoła wilkom uciec.

Zwrócił więc konia ku owemu zaroślu, i w samej rzeczy zamiar jego się udał, gdyż dopadł go, zanim go wilki doścignęły. Właśnie gdy koń wbiegał pomiędzy drzewa, schwycił za gałąź, puścił konia wolno, a sam jednym rzutem wśmignął się na drzewo.

Właśnie też wilki nadbiegły. Koń pozbywszy się ciężaru lekciej posunął naprzód i w samej rzeczy był dość daleko na przodzie. Henryk widział go jeszcze znikającego razem z gromadą wilków po za najbliższym pagórkiem. Wiedział on dobrze, że go już nigdy oglądać nie będzie; życzył mu jednakże szczęścia na drogę, a łzy zakręciły mu się w oczach na myśl o niebezpieczeństwie swego wybawcy. Potem urządził się nieco wygodniej na swem wietrznem siedzeniu, lubo mu to szło z trudnością.

Jeszcze się nawet nie usadowił jako tako, kiedy go straszliwe wycie przeraziło. Spojrzawszy, zobaczył, że połowa wilków wróciła. Gromada więc podzieliła się, i podczas kiedy jedna połowa gnała za koniem, druga przypomniawszy sobie jeźdźca, przeznaczyła go sobie na swój łup.

Może kto pomyśli, że Henryk mógł się śmiać na drzewie z ich wycia, z ich krwiożerczości, z ich ogniem i mordem pałających ślepiów. Mogłoby tak być, gdyby to było w pobliżu mieszkań ludzkich, ale nie na stepie, gdzie w każdą stronę na dziesiątki mil żadnego może nie ma mieszkania, i gdzie jeszcze żadna żywa dusza nie była.

Daniel wiedział dobrze, że wilki już nie jednego myśliwego na drzewie tak długo oblegały, dopóki go nie zagłodziły. Musiał więc przyjść na tę myśl, że i z nim tak samo się stanie.

Pomiędzy wilkami, które najwięcej ku drzewu się darły, ujrzał wielkiego białego. Prawdziwa wściekłość go porwała. Przypomniał sobie teraz o pistoletach, a chociaż wiedział, że zastrzelenie jednego, dwóch, dziesięciu, albo połowy nic mu nie pomoże, mimo tego zmierzył do owej białej bestyi. Huk się rozlegl, a wilk przewrócił kozła.

Ale teraz innna scena pokazała się oczom Henryka. Skoro tylko inne wilki zobaczyły, że ich towarzysz nie żyje, rzuciły się na niego. Rozpoczęło się straszliwe wycie, warczenie, szarpanie, kulanie się, a za-

nim kilka minut wyszło, pożarły swego towarzysza, że ani śladu po nim nie pozostało.

Kiedy już uczta była skończoną, zaczęły się tem natarczywiej drżeć na drzewo, jakby chciały, aby im Henryk jeszcze jednę taką sprawił ucztę, zapraszając go, aby zeszedł z drzewa i swą osobą ich uraczył. Do tego Henryk nie miał ochoty, ale dał drugi raz ognia. Tym razem strzaskał tylko jednemu białemu szczękę.

Raniony wilk zapewne wiedział, jaki los oczekuje go od jego towarzyszów, dla tego chciał co prędzej umknąć. Ale mu się to nie udało. Towarzysze widząc płynącą krew, rzucili się na niego. Bronił się jeszcze krótko, a potem zniknął pod kupą szarych i białych sierci. Kiedy się kupa rozeszła, już znowu nie było śladu po nim.

Henryk chciał jeszcze sporządzić im ucztę. Sięgnął więc proch, aby nabić pistolety, ale z przerażeniem spostrzegł, że go nie miał przy sobie, wisiał tylko sznur i kawałek roga. Cóż się stało? Wnet się domyślił. W czasie swej rozpaczliwej jazdy przez płomienie widocznie proch się zapalił i róg rozsadził. Że nie był rannym, to tylko z tego powodu, że przez szaloną jazdę róg się w tyle wiewał, ztąd eksplozya była dla niego bez złych następstw.

Przypadek ten jednak zmartwił go nie mało. Bezbronny teraz, oblężony przez zajadłe wilki, cóż pocznie? Jeźli tu ma pobyć kilka dni, cóż się z nim stanie, kiedy nie ma ani odrobiny żywności przy sobie.

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi. Czerwoną purpurą powleczone niebo wyglądało, jakby było we krwi skąpane, i samo czerwieniło cały step, jak gdyby i ten krwią był polany. A wilki pod drzewem na brzuchach leżące na około, wytrzeszczały swe czerwone oczy na Henryka, i ziajały długiemi, krwistemi ozorami.

Słońce zapadło, ciemność nocy zaległa.... cisza na stepie. Tylko pod drzewem warczenie, a kilkadziesiąt ogników, błyszczących ócz wilków wskazywały na miejsce, gdzie te bestye obrały legowisko.

Henryk na drzewie nie czuł się bezpiecznym. Szalona jazda, wrażenia dzienne, tak siły jego wyczerpały, że uczuł silny pociąg do snu. Jednakże biada! gdyby miał zasnąć. Wtedy bezwątpienia spadłby z drzewa prosto pomiędzy wilki. Ile mógł, odpędzał sen, ale w końcu uczuł, że długo nie wytrzyma. Trzeba było coś postanowić choćby to było nierozpaczliwszem postanowieniem.

Wiedział o tem, że wilki stepowe uciekają od ognia. Ale jak tu ogień zrobić, czy zejść na dół? Broń Boże, byłoby to niechybną śmiercią. Czy na drzewie rozpalić ogień? ale jak?...

Obmacawszy drzewo, znalazł gałąś suchą i smolną. Dobraby ona była, gdyby mógł z nią zejść na dół i rozpalić ogień, ale tak na nic mu się nie przyda.

Lecz w tej chwili przyszła mu inna myśl do głowy. Dobył krzesiwa i chubki, złamał gałąś, i po niejakich trudnościach gałąś paliła się jak smolna pochodnia. Z gorejącym płomieniem zeskoczył z drzewa pomiędzy wilki i zaczął machać na około.

Wilki przestraszone tem niespodziewanem zjawiskiem, zerwały się czemprędzej i uskoczyły w bok na kilkadziesiąt kroków.

III.

Trzeba było koniecznie rozpalić większy ogień. Lewą ręką machając gałęzią, prawą co prędzej nazbierał chróstu i gałęzi. Z tego ułożył kupkę i podłożył ogień, a potem co żywo wskrabał się na drzewo. Czas był wielki, albowiem pochodnia już zagasła, czem ośmielone wilki zbliżyły się do groźnej blizkości. Ledwie dostał się na drzewo, a wilki już też były pod drzewem.

Z biciem serca wytężył wzrok, gdzie widział mały, żarzący się punkcik. Było to miejsce, gdzie leżała kupa chrustu. Jeźli się zapali, wilki ucieką, jeźli nie, będzie musiał noc przepędzić na drzewie. Lekki podmuch wiatru rozżarzał coraz więcej ogień... już mały płomyk mignął i zagasł — znowu mignął, zagasł, ale już trwał dłużej. Nagle buchnął ogień płomieniem, a wilki przestraszone tem niespodziewanem, zjawiskiem z przeraźliwem wyciem odbiegły na daleką przestrzeń.

Uradowany Henryk zeszedł co prędzej i począł dokładać gałęzi, których było wielki zapas. Snadź niedawno szalał tu wicher i nałamał ich wiele. Widząc się bezpie-

cznym, usiadł Henryk przy ogniu, przysposobiwszy sobie poprzednio zapas opału. Płomień rzucał czerwony blask na pewną odległość, a w dali ciemno, choć oko wykol. Ale w tej ciemności widać było zdala okrąg świecących punkcików, symetrycznie dwa a dwa ułożonych. Wiedział Henryk dobrze, co znaczą te punkciki. Nie są to gwiazdy, nie są to robaczki świętojańskie ale oczy wilcze.

Tymczasem sen coraz go mocniej morzył. Henryk powstał, chciał chodzić, aby się snowi nie dać opanować, ale nogi mu odmówiły posłuszeństwa. Więcej runął, aniżeli usiadł przy ognisku, i mimo przerażającej wilczej straży, usnął.

Gdyby wycieńczenie sił jego nie było tak wielkie, bezwątpienia nie byłby się dał znużeniu opanować. Aczkolwiek wiedział, że wilki nie przystąpią do niego, dopóki płomień będzie buchał, ale gdyby zagasł? Byłoby to więcej aniżeli lekkomyślnością zasypiać, kiedy krwiożercze bestye tuż niedaleko na niego czyhają.

Sen jego był bardzo straszny. Pragnienie, które go paliło, zaprowadziło go we śnie aż na morze. Walka rzeczywista z bestyami lądowemi za dnia, w majaczeniu sennem toczyła się dalej, ale już nie z wilkami lądowemi, tylko z wilkami morskiemi, rekinami. Sądził, że jest we wodzie, że tonie, a w tem nadbiega rekin, otwiera straszliwą paszczę. Henryk wyciąga ręce do obrony, ale rekin go już pochwycił, ścisnął za gardło.

I Henryk się obudził. Rekin i morze była senna złuda, jednakże wyciąganie rąk było rzeczywistością, gdyż trząsnął coś żywego w prawej ręce, a szyję miał niby w kleszcze ujętą.

Wielki Boże, cóż to jest?

Zerwał się na równe nogi, płomień jeszcze buchał jasno, spojrzał na stworzenie które trzymał w ręku i krzyknął przerażony. Był to bowiem wąż grzechotnik. Gad zasyczał prosto w twarz Henrykowi, a ten zrozpaczony nad ludzką siłą oderwał go od siebie, a dobywszy noża rozciął go na poły. Obydwie połowy jeszcze żyły i wiły się w szalonych zakrętach. Chciał je teraz chwycić i wrzucić w ogień, ale krew ścięła mu się w żyłach, gdy ujrzał ranę od ukąszenia na ręku.

— Wielki Boże! — wrzasnął rozpaczliwie — cóż się ze mną stało?

Rozpacz jego miała swe słuszne powody. Ukąszenie grzechotnika jest zawsze śmiertelnem, i śmierć w kilka godzin następuje. Indyanie tylko wiedzą na to środki, ale zachowują je przed Europejczykami w tajemnicy. Tak więc, jeśli Europejczyka ukąsi grzechotnik, to śmierć zawsze pewna, chyba że wąż przed tem już kogo innego pokąsał i jad ze zębów swoich wypuścił.

Henryk więc wiedział co go oczekuje. Po kilku chwilach głuchej rozpaczy rzekł do siebie gorzko:

— Na toż uszedłem kul Meksykanów, na toż uchroniłem się od rozszarpania przez wilków, abym teraz umierał nędzną śmiercią od jadu gadziny! Lecz nie! — wrzasnął myślą jakąś przejęty — jeszcze nadzieja.

To rzekłszy doskoczył do ognia, wyrwał żarzącą się głownie i przyłożył do rany krwią sączącej. Zasyczało, zapach smażącego ciała rozszedł się na około, straszliwy ból przejął Henryka, ale on go wytrzymał i palił i piekł dalej.

Jednakże ból był większy, aniżeli go mógł znieść. Jeszcze raz przycisnął głownię, jeszcze raz zasyczało, a potem padł omdlały przy ognisku, nie troszcząc się już o wilków.

Kiedy Henryk otworzył oczy, znalazł się w jakiemś ludzkiem pomieszkaniu. Na pierwsze powiódł tylko zdziwiony oczyma na około, nie mogąc tego pojąć.

— Czy to sen — rzekł sam do siebie— czy też na jawie. Jestem w łóżku, tu oto izba, a przecież powinienem się znajdować przy ognisku na stepie. Gdzież wilki? Co to ma znaczyć? Przecież mnie wąż ugryzł tu oto w rękę... au!

Ten słaby okrzyk boleści wydarł mu się z piersi, gdy chciał prawą rękę podnieść. Była ona obandażowaną, ale straszliwie opuchłą, i bardzo bolała. Poczuł teraz, że to nie sen, tylko rzeczywistość. Lecz jednak zrozumieć nie mógł, co się z nim stało.

Kiedy zbierał myśli i rozważał, jakimby sposobem mogła była zajść taka nagła zmiana w jego położeniu, otworzyły się po cichu drzwi i na progu stanęło dziewczę, ubrane pół z europejska, pół po indyańsku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

NIE OPUSZCZAJ
KRAJU RODZINNEGO

— PRZEŁOŻYŁ —

BOLESŁAW DUNIN.

(Dokończenie.)

Kiedy otworzył oczy, ujrzał nad sobą postać jakiegoś starca, który mu się pilnie przypatrując trzymał go za rękę, jakby szukając w leżącym na ziemi znaku życia. Był to zakonnik z przyległego klasztoru, należał do pobożnego stowarzyszenia, zajmującego się ratowaniem i obsługą chorych. "Ratuj mnie Panie!" słabym głosem wymówił Ferdynand! I omdlał znowu. "Staruszek przywołał ludzi, których miał z sobą, i z ich pomocą chorego przeniesiono do klasztoru, gdzie mu zaraz dano stosowny ratunek.

Lecz przytomność nie powracała choremu młodzieńcowi. W gwałtownych poruszeniach wił się po łożu, wymawiając niezrozumiałe słowa. Stan jego był okropny. Gorączka się wzmagała przez dni następne coraz bardziej. Chory leżał jakby w ogniu cały. Usta jego były spalone, język suchy, na końcu nastąpiła zupełna bezwładność. Nikt nieprzypuszczał, aby życie zatrzymać było można. Sam nawet zakonnik, którem, był lekarzem, zwątpił o jego życiu.

Długa to była choroba, mijały tygodnie, nim jakiekolwiek polepszenie dostrzedz można było. Przychodziło ono bardzo powoli; a chociaż chory budził się często z ciągłego prawie snu, w jakim był pogrążony, krótką to bardzo trwało chwilę i znowu w sen ciężki zapadał.

Nakoniec pewnego dnia otwarł oczy i zaczął w około spozierać, jakby sobie chciał przypomnieć, co się z nim działo i gdzie znajdował? Promienie słońca przez zakratowane okna wpadały do izby i oświecały wszystkie przedmioty. Wzrok jego spoczął na drewnianym krzyżu, wiszącym nad jego łóżkiem. Tak się wpatrywał w ukrzyżowanego Chrystusa, podniósł rękę do czoła, jakby na niem chciał znak krzyża uczynić. Bezsilna ręką opadła, chory pochylił znowu głowę na poduszki, i posunąwszy drugą rękę po czole, jakby tym sposobem chciał sobie coś przypomnieć, z największem przerażeniem zawołał: "Ach! złoto!... O! ja nieszczęśliwy! znowu jestem zrabowany!"....

Zaledwie dokończył tych słów, gdy ujrzał przed sobą stojącego zakonnika, który się do niego odezwał łagodnie: "Próżno się niepokoisz, mój synu, o twoje złoto. Będzie ono zaraz w tem ręku, jeśli tego żądasz."

Był to ten sam staruszek, który go omdlałego znalazł na drodze i zabrał do klasztoru. Chory młodzieniec począł mu się przypatrywać, jakby przypominając go sobie. "Któż jesteście, mój ojcze?" zapytał go. "Imię moje, Celestyn; a o nazwisko niepytaj. Wstępując do tego stowarzyszenia, trudniącego się usługą koło cierpiącycy i chorych zostawiamy nasze nazwisko za progami klasztoru."

"O! dzięki Wam za Waszą pomoc, bez. której życiebym był stracił!"

"Bóg cię ocalił, mój synu, abyś się nauczył i zapamiętał tę prawdę, że złoto nie jest szczęściem człowieka. Gdyś leżał omdlały na drodze, wór, którem dźwigałeś na sobie i pod jego ciężarem upadłeś, było o-

bok ciebie. Zabierając cię chorego, zabrałem i tę twoję własność, a nadto wszystko, co miałeś w swych sukniach. Wszystko to jest w całości zachowane. My zakonnicy złota niepotrzebujemy wcale. Wyrzekliśmy się doczesnych dóbr, wstępując w tę progi."

"Bogu niech będą dzięki!" zawołał Ferdynand. "Ocalone więc wszystko, co mnie tyle kosztowało trudu, i co mnie o mało życia niepozbawiło!"

Smutnym wzrokiem popatrzył starzec na chorego młodzieńca i po krótkim milczeniu odezwał się znowu:

"Widzę, mój synu, że więcej niż należy pokochałeś złoto! zamiast dziękować Bogu za odzyskanie zdrowia, dziękujesz mu tylko za ocalenie ziemskiego dobra. Rzecz to znikoma i niczem jest w porównaniu z dobrem wieczności."

Na blade lica Ferdynanda rumieniec wystąpił. Zawstydził się w obec starca, który mu taką dał przestrogę. Przypomniał sobie wszystkie okoliczności od czasu przybycia swego do Kalifornii. Posmutniał w tej chwili, przypomniawszy sobie wiernego Jana, z którym tak się źle obszedł, któremu tak źle się wywdzięczył za jego przychylność. Może on już nie żyje, pomyślał sobie, i łzy w oczach jego stanęły. Co widząc starzec chciał odejść od niego, aby nie powiększać smutnymi wspomnieniami jego choroby, która już przechodziła. Rzekł więc do niego: "Uspokój się mój synu. Później pomówimy jeszcze o tem, jak pozdrowiejesz; i jeżeli mi otworzysz serce swoje, zacznę leczyć duszę twoję, tak jak dotąd byłem tylko lekarzem twojego ciała."

"Zatrzymaj się Ojcze!" smutnym do niego Ferdynand odezwał się głosem." Ile już złego, dla mnie sprawiło złoto, którego tak pożądałem! i obecnie tylko cząstkę tego mam, jest to mało w porównaniu, com posiadał z narażeniem sumienia mego, a co mi odebrał zły człowiek. To co mam teraz, jest to owoc mojej własnej pracy, mego ciężkiego trudu, który mnie o mało życia niepozbawił." I tu rozrzewniony zaczął opowiadać starcowi przygody swoje. Gdy przyszło do historyi z Janem łzy go oblały na samo wspomnienie, jak nieludzko się z nim obszedł." Jestem zabójcą człowieka, który mi był wierny, a wszystko to sprawiła nadzwyczajna chciwość złota!" Zawołał w uniosieniu.

Zakonnik widząc ten żal jego szczery, tę jego prawdziwą skruchę, pocieszał go, że Bóg mu odpuści tę jego zbrodnię, kiedy tak szczerze za nią żałuje. Powiedział mu przy tem, że na kilka dni przed jego znalezieniem na drodze, przyniesiono do klasztoru jednego chorego człowieka, którego związanego znaleziono — "Może to będzie ten sam, o którym mówiłeś. Długo on i ciężko chorował, teraz jest mu już lepiej. Wszakże nie powiedział przez kogo został związany, ani powodu dla którego to nastąpiło"

Ferdynand prosił zakonnika, by go do niego zaprowadził, ze chce błagać go w jego obecności, aby mu przebaczył tę jego zbrodnię. Lecz zbyteczne jeszcze osłabienie nie dozwoliło mu powstać z łóżka. Zakonnik widząc ten jego żal, przyrzekł mu, że będzie pośrednikiem jego." I ten bowiem człowiek chory jest jeszcze, powiedział do niego. Jak się wam obu polepszy, to was razem sprowadzę i pewnym jestem tego, że tobie przebaczy i jako ziomkowie będziecie odtąd z sobą w najlepszej przyjaźni. A że oba pragniecie powrotu do ojczystej ziemi, to może nawet razem tę podróż odbędziecie. On nic nie miał przy sobie kiedyśmi go znaleźli; sprawiedliwie więc będzie, gdy twoim kosztem do swej ojczyzny powróci: to bowiem, co masz, wystarczy dla was obu."

"Chętnie to uczynię, mój Ojcze, odpowiedział Ferdynand" a nawet podzielę się z nim tą resztą. jaka nam z kosztów podróży pozostanie. Może choć tym sposobem zmażę tę ciężką krzywdę jaką mu wyrządziłem."

Zakonnik podawszy lekarstwo Ferdynandowi, zostawił go znowu samego. Dzień za dniem zdrowie jego się polepszało i powracały siły. Mógł już podnieść się z łóżka. Najpierwszem jego zajęciem było, odszukać Jana. Wyszedłszy na kurytarz, spotkał swego lekarza, który szedł go odwiedzić. "Nie czekałeś, mój synu, aż ci wstać z łóżka pozwolę. Po cóż było wychodzić tak wcześnie, może się pogorszyć z tego właśnie powodu zdrowie twoje."

Chciałbym czemprędzej zobaczyć Jana; mam przeczucie, że to on a nie kto inny tu się znajduje," odrzekł Ferdynand — "Wszakże przyrzekłeś mi Ojcze, że mnie do niego zaprowadzisz."

"Wracaj do siebie zaraz, a ja ci go przywiodę. Jest on umieszczony na dolnem piętrze klasztoru. Niemasz jeszcze takiej siły, abyś po tylu schodach mógł zejść."

Usłuchał tej rady Ferdynand i powrócił do swej celi. Wkrótce potem jej drzwi się otwarły i zakonnik wszedł w towarzystwie Jana, którego prowadził za rękę. Na Boga! to ty Janku!" zawołał Ferdynand...

"Teraz podajcie siebie dłonie, gdyście przebaczyli zupełnie!" odezwał się zakonnik. I w tej chwili Ferdynand ze łzami rzucił się w objęcia Jana, który uprzedzony przez zakonnika o wszystkiem, co poprzedziło ich spotkanie, serdecznie powitał swojego dawnego pana. Odtąd nierozłączali się oba, i uprosili swego lekarza, aby im pozwolił razem mieszkać przez cały czas, któr" zostawać będą w klastorze aż do zupełnego wyzdrowienia. I tak już pozostali razem jeszcze dni kilkanaście, nim mogli opuścić to miejsce. Jan jako zdrowszy, prędzej wychodzić zaczął. I najpierwej pomyślał o tem, aby się dowiedzić w mieście, czy jaki okręt nieodpłynie w tym czasie do Europy. Pragnął to tak urządzić, aby nie zatrzymać się długo w mieście, tylko wprost z klasztoru dostać się do portu, by uniknąć niepotrzebnego kosztu i niepotrzebnych tłumaczeń przed znajomymi, gdyby którego spotkał

Przyszedłszy do miasta, dowiedział się że okręt, którem przybył przed kilku dniami z Europy ma wkrótce odpłynąć. Wrócił więc zaraz do klasztoru, aby to Ferdynandowi opowiedzieć i zalecić, by się przygotował do drogi. Oświadczył to także dobrym zakonnikom, którzy nie chcieli ich zatrzymać dłużej, by niestracili tej sposobności, jaka im się zdarzyła do powrotu do kraju. Przełożony klasztor odprawił nabożeństwo na ich intencyę i pobłogosławił na drogę.

Ferdynand, przed odjazdem chciał zostawić w klasztorze część swego złota, jako wynagrodzenie za swoje tu utrzymanie, przełożony tego jednak nie przyjął. Powiedział mu tylko: "Nagrody żadnej nieprzyjmujemy od nikogo. Naszem bowiem powołaniem jest opatrywać chorych i udzielać przytułek zbłąkanym w tej pustyni. Zboże co nam rodzi ziemia, którą sami uprawiamy, warzywo z naszego ogrodu, mleko od krów naszych, wystarcza nam na nasze pożywienie i jeszcze nam pozostaje tyle, że się z potrzebnymi dzielić możemy."

Pożegnali więc oba ze łzami poczciwych zakonników i poszli do portu, gdzie umówiwszy się z kapitanem okrętu, któren miał odpłynąć i zapłaciwszy mu złotem podług wagi jaka w tej sumie przypadała, wsiedli na okręt, który w krotce opuścił przystań.

Powoli zaczęły znikać im z przed oczu brzegi Kalifornii Gdy już wpłynęli na pełne morze, uczuli się dopiero bezpieczniejsi, choć nieczuli pod swojemi stopami już ziemi. Przykre wspomnienia unosili z sobą z kraju, w którym łatwo zdobywane złoto zatracić może serce ludzkie i tylu nieszczęść stać się przyczyną. Podróż jakoś szczęśliwie się odbyła, niebyło najmniejszego wypadku; i w pożądanem zdrowiu po długiej żegludze dopłynęli do Europy. Wysiadłszy w Plymouth, dopytywali się co prędzej o statek, na którymby do swej rodzinnej ziemi dostać się mogli. Z wielką radością dowiedzieli się, iż nazajutrz opuszcza zatokę parowiec "Smok" pod komendą kapitana Brace. Natychmiast kajutę najęli, i z niecierpliwością wyczekiwali dnia jutrzejszego.

Wiosna w całej swojej krasie roztaczała znowu swe wdzięki po ziemi, kiedy podróżni wpłynęli w koryto rodzinnej rzeki. Otoczeni wonią przyrodzonej swojej atmosfery, błogie jakieś uczucie ich oponowało, tak się czuli szczęśliwymi i silnymi na ciele i duszy, mimo znużenia podróża po tak długiej ich obu chorobie. Gdy kotwicę zarzucono w miejscu, gdzie wysiąść mieli, Ferdynandowi łzy puściły się z oczu, ujrzawszy znowu te miejsca, które tak lekkomślnie opuścił. Wysiadłszy ze statku, ukląkł na ziemi z dziękczynną modlitwą na ustach, za swój powrót szczęśliwy.

Tak był zmieniony, że się nieobawiał być poznanym przez nikogo. Suknie miał na sobie zniszczone, długa broda zwisła na piersi jego; był to jakby nie ten sam czło-

wiek. zupełnie nie do poznania. Nie była to ta młoda i hoża postawa, jaka go zdobiła, gdy ztąd się oddalał. Z sakwami na plecach dążyli oba z Janem do ojcowskiej i swojej zagrody, chcąc choć raz jeszcze popatrzyć na nią z daleka, gdy już innego teraz miała właściciela. Nic w niej się dotąd niezmieniło. Domek ten sam, co niegdyś otoczony rozwisłemi krzewy, drzewa sadu pokryte białem kwieciem, zielone liście winnych latorośli rozpięte po żerdziach, wszystko to przypomniało przeszło minioną. O! jakże był tu spokojny i szczęśliwy! niebaczny! porzucił to wszystko, aby się ubiegać za innem szczęściem, jak to, które miał w udziale, a szanować nieumiał.

Pominął smutny dom niegdyś własny i poszedł z kosturem w ręku jakby żebrak jaki do folwarku brata swego. Wszedłszy na podwórze i niepytając nikogo podszedł pod dom, przy nakrytem do wieczerzy stole. Słońce już zachodziło. Stanął pokornie i zdjąwszy kapelusz z głowy pokłonił się obecnym, brat zbliżył się do niego z zapytaniem, kto to taki i czego żąda.

Gwałtownie zabiło Ferdynandowi serce na to zapytanie, które dowodziło, że nie był poznanym. I jakże by to mogło być inaczej. On, w stroju żebraczym, z kosturem w ręku, z sakwami na plecach z długą brodą, zmieniony na twarzy tak niepodobnym był do tego, który przed ledwie rokiem stąpał po tej ziemi. Nie wiedział na razie, co miał odpowiedzić na to pytanie brata.

Łzy rzewne go oblały tylko. Zaczął łkać jak dziecko; a czy to głos wychodzący z przepełnionej żalem piersi przypomniał Ernestowi głos brata, czy przeczuciem odgadł go w sobie przybyłego, przypatrując mu się bliżej, krzyknął radośnie. Tyżeś to Ferdynandzie, bracie najukochańszy!" i objąwszy go za szyję ściskać zaczął.

Długo oba słowa wyrzec niemogli, przyjęci szczerem uczuciem. Nakoniec Ernest odezwał się pierwszy. "Przecież wróciłeś do nas, dzięki niech będą Bogu! Czemuż wprost nie wstąpiłeś do domu twego? — "Nie jest on już moim, niestety! przecież niezapomniałem tego, żem zmarnotrawił zostawione mi przez ojca dziedzictwo!....."

"Jest on zawsze twojem! "zawołał Ernest. "Wiedziałem o tem, że wrócisz, że pożałujesz tego, tego coś uczynił. Niechciałem dopuścić, aby praca ojca naszego w obce przeszła ręce. Mimo wiedzy twojej dałem oszczędzone pieniądze proboszczowi, który niby to nabył od ciebie dla swego synowca.

"Czy to być może? mój bracie?" zawołał Ferdynand uradowany.

Gdybym ci był dał wprost pieniądze byłbyś je stracił, jak utrzymuje proboszcz. I on sam na to niepozwolił. Teraz zaś, kiedy cię smutne doświadczenie nauczyło, jak droga jest własna ziemia, będziesz ją lepiej miłował, niż dotąd i niewypuścisz jej więcej z rąk swoich."

"Dzięki Wam obu mój drog bracie! słusznie przewidzieliście wszystko. Lecz nie myślicie o tem, że zechcę skorzystać z dobrodziejstwa, jakieście mi wyświadczyli. Pomimo powierzchownego mego ubóstwa mam z sobą przywiezione złoto, com go z narażeniem zdrowia i życia własnemi rękoma zgromadził. Wrócę ci więc wszystko, com od ciebie wziął na drogę i do zgonu wdzięczność zachowam w mem sercu za to, żeś mi ocalił i zachował kąt, w którym spocząć będę mógł po smutnych doświadczeniach."

Całej tej scenie przypatrywał się Jan z rorzewnieniem. Ferdynand przedstawił go bratu opowiedziawszy, całą swą przygodę. Posłano po proboszcza, aby był świadkiem powrotu marnotrawnego, jak go nazywał, syna. Przybył staruszek, niewierząc prawie oczom swoim, aby to był ten sam Ferdynand, którego żegnał i błogosławił przed niespełna dwoma laty.

Wszyscy społem odprowadzili Ferdynanda do jego, domu, w którym nic nie zmnieniono od czasu jego wyjazdu.

Każda rzecz, jak ją zostawił była na miejscu. Był tak urządzony, jak gdyby wczoraj dopiero go opuścił. Wszyscy słudzy, zatrzymani aż dotąd, zbliżyli się, aby powitać swego pana. Radość ich z jego przybycia nieudaną była. Jan to wszystko widząc, przekonał się, jak szlachetna musi być cała rodzina, i sam Ferdynand nawet niebył tak złym, jak mu się z początku zdawało. Była to chwila obłędu — chwila szału z natchnienia szatańskiego na widok ta-

kiego ogromu złota, które go pochnęło do zbrodni.

Kiedy Ferdynand rozsypał wobec przytomnych złoto szczere, które przywiózł z sobą, oddzielił jedną część i chciał ją oddać bratu. Ten nieprzyjął tej ofiary, mówiąc: "Niechcę go, mój bracie, boby mi się zdawało żem pieniędzy moje na to użył, abyś się przekonał o mojem do ciebie przywiązaniu również o tem, jak należy cenić drogą nam po rodzicach śpuściznę.

Pozostałą resztą chciał się podzielić z Janem, lecz i ten nieprzyjął ofiary. "Zostanę przy tobie na zawsze Ferdynandzie!" powiedział on:" będę ci w pracy pomagał. A w chwilach wolnych od niej, gdy zapolujemy w górach, zabita zwierzyna będzie nam przypominać nasze wędrówki po krainie złota i to wszystko cośmy tam doznali.

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

Pan Wanderstraten.

Na schyłku zeszłego stulecia, bogaty kolonista pan Wanderstraten, był właścicielem ładnej plantacyi, założonej nad czarownymi brzegami rzeki Korentin, której koryto przerzyna zielone łasy Surinamu. Na niewielkiem wzgórzu wznosił się gustowny pałac, mieszkanie samego właściciela, do stóp zaś wzgórza przytuliły się chaty murzynów-niewolników, okolono ogrodami. Ogrody te zasadzone były owem mnóstwem roślin i krzewów, jakie tylko rosną pod tropikowem niebem, przeważnie zaś tymi, które właścicielowi korzyść przynosiły. Woniejące rośliny, wijące się jedna w około drugiej zacieniały altany; promienie wody wyrzucane z sztucznych wodotrysków, łagodziły skwar palącego klimatu; groty niby naturalnie, a jednak ręką ludzką z surowych nieobrobionych kamieni zbudowane, użyczały chłodu; duże zaś klatki z grubego drutu pełne były ptactwa surinamskiego.[lśniącego najróżnorodniejszemi barwami swego pierzastego okrycie i bądź latającego z jednego końca klatki na drugi, bądź też kołyszącego się w mosiężnych obręczach, tu i owdzie na sznurach jedwabnych pozawieszanych, lub skaczącego z gałązki na gałązkę. Krótko mówiąc, pan Wanderstraten niezapomniał o niczem, coby jego siedlisko ozdobić mogło i tak urozmaicić tak uroczem uczynić, że już chyba tylko raj sam wydaćby się mógł więcej uroczym.

Takieto otoczenie okalało dwupiętrowy pałac pana Wanderstraten, zbudowany przed trzydziestu jeszcze laty, kiedy pan Wanderstraten ojczyznę swą pożegnał i z rodzinnego miasta Amsterdamu przeniósł się do pustkowia Surinamu. Budując go trzymał ściśle wzoru domu, w którym przodkowie jego długie lata mieszkali, i w którym mieli wielkie upodobanie, byli bowiem w nim szczęśliwymi. Nie brakło więc ani wysokich kominów sterczących z ciemno ceglastego

dachu, ani też ogromnych pieców wewnątrz, jakkolwiek od czasu kiedy je wymórowano, aż do tej chwili nie okazały się nieokażą. Tutaj bowiem w Surinam trza raczej szukać środków, któreby potrafiły chronić bodaj jako tako przed piekącem gorącem tropikowego klimatu, sztucznego więc ciepła nikt tu nie wytwarza. Pan Wanderstraten jednakże chciał mieć w Surinam dotykalną pamiątkę swych ojczystych okolic, i dla tego kazał zbudować dom ten tak, na wzór owego, w którym rodzina jego mieszkała w Amsterdamie, nie zaś jak doradzał budowniczy, mający na względzie klimat. Całe urządzenie wewnętrzne świadczyło o wielkiem bogactwie właściciela, któremu nader łatwem było tysiące wyrzucać na dogodzenie kaprysom, bo wyrzuciwszy takowe, nie czuł jako pan bardzo możny straty tychże. Własne jego okręta co chwila odwoziły kosztowne płody z własnych jego plantacyj do Europy, a stamtąd w zamian przywoziły wory napełnione złotymi i srebrnymi pieniądzmi za woniejące korzenie, za kawę, cukier, ogromne zwoje liścia tytoniowego i za bawełnę, które setki jego niewolników sami w pocie czoła na urodzajnych niwach zebrali, bo pan Wanderstraten nie zwykł był przykładać ręki do tego rodzaju czynności, i co więcej, chwilkę nawet roboty czarnych niewolników sam nie dozorował. Na to wszystko przecie miał pan Wanderstraten dozorców, kierownictwo zaś zamiejscowych swoich interesów poruczał swoim buchalterom i pisarzom w Paramaribo, którzy zobowiązani byli od czasu tylko do czasu składać mu rachunki tak z dochodów jak niemniej i dalszego użytkowania tychże. Ale i to tak małe zajęcie, poczęło niecierpliwić już pana Wanderstaten, i dla tego od dłuższego czasu z upragnieniem wyczekiwał przyjazdu swego siostrzeńca, którego rok właśnie temu własnoręcznym listem zaprosił. Siostrzeniec ten wyczekiwany, był synem siostry pana Wanderstraten, która wyszła była za mąż za kupca, Niemca, a od czasu śmierci tegoż w dosyć przykrem znajdowała się położeniu. Mógł on liczyć obecnie lat ośmnaście, co najwięcej dziewiętnaście, był więc jak utrzymywał pan Wardenstraten, w tym właśnie wieku, w którym młodzieńcem można jeszcze tak pokierować, jak się tego pragnie. Pan Wanderstraten bowiem nosił się z zamiarami zrobienia Emeryka Waldek (tak się nazywał ów siostrzeniec) spadkobiercą wszystkich swych plantacyj i całego ogromnego majątku. Zanim jednakże to nastąpić miało, to jest, jak długo on, stryj, jeszcze żyć będzie, miał być Emeryk uważanym jakoby syn pana domu. Dodać należy, że miało to wszystko nastąpć dopiero wówczas i w takim razie, jeżeli Emeryk potrafi zaskarbić sobie względy, życzliwość i przychylność stryja, a co znowu nie tak łatwem było, bogaty bowiem właściciel plantacyi w Surinam, który jakby jaki książę rządził swojem otoczeniem, miał również i swoje kaprysy.

Dnia jednego siedział pan Wanderstraten w cieni pizanów, po których wiły się gałązki kwitnącej, woniejącej wanili, i kołysał się lubo w sztucznie przyrządzonem krześle z poręczami. Po prawej i lewej stronię stali niewolnicy z ogromnymi wachlarzami z różno kolorowych piór ptasich i ruszali na przemian takowymi, by pana swego ochłodzić, a zarazem odstraszać natarczywe skrzydlate owady, jeżeliby tylko który z tychże ośmielił się zbliżać z chętką napicia krwi właściciela plantacyj. Pan Wanderstraten palił fajkę, napełnioną najszlachetniejszym liściem tytoniowym, który ry dojrzewał na urodzajnych niwach Surinamu, i z wielką lubością przypatrywał się niebieskim obłokom tytoniowym, napełniającym powietrze kosztownym swym aromatem. Lekki, szerokokrysy kapelusz, zarzucił na bok, a nagie nogi oparł o kolana czarnego niewolnika, który aż przykucnął przed nim, by tylko delikatne ciało właściciela plantacyj nie potrzebywało dotykać się ziemi. Tak siedział pan Wanderstraten i cieszył się swym ogromnym majątkiem, mając bowiem od dawna zapewnione wszelkie wygody życia, pędził życie spokojne, żył tylko dla przyjemności.

W chwili właśnie, kiedy słońce poczęło się już chylić ku zachodowi, szeroka postać jakiegoś białego jegomościa zaciemniła wchód do altany. Jegomość ów pochylił się nisko przed panem Wanderstraten i rzucił

przelotne spojrzenie na otaczających go niewolników, którzy zaraz w pierwszej chwili ukazania się jego potruchleli i podwojną pilnością poczęli wiwijać po nad głową pana Wanderstraten ogromnymi wachlarzami. Był to Mikołaj, dozorca plantacyj, który wedle zwyczaju zjawił się, by zawiadomić właściciela o całodziennych czynnościach, i zdać sprawę z tego, co się przytrafiło.

Mikołaj, był to słuszny, silny mężczyzna którego wejrzenie jedno wystarczyło, aby drżących na sam widok jego niewolników, przestraszyć. Twarz ogorzała od promieni trupikowego słońca, broda czarna po pas sięgająca, wzrok pochmurny i głos groźny nabywały zawsze niemałego strachu biednych niewolników. Lecz bardziej jeszcze przerażał ich harap z rzemienia wołowego, który zwykle przy sobie nosił, jako oznakę swej władzy. Silne ramie dozorcy Mikołaja znane im też było również aż nadto dobrze, a zaledwie kilku tylko było jeszcze pomiędzy nimi takich, których to ramie nie dosięgło, którzy nie poczuli na grzbietach swoich tego harapa. Mikołaja bali się też niewolnicy o wiele więcej. jak samego właściciela. Ostatni bowiem zfułkał ich wprawdzie często bardzo, złajał, zwykle jednakże prędko udobruchał się. Jedyny wyjątek stanowiły wypadki w których ukochane przez niego wygódki, lub upodobania wskutek opieszałości tychże niewolników ucierpiały.

“No i cóż tam nowego Mikołaju?" zapytał pan Wanderstraten, podając jednemu z niewolników wypaloną fajkę, który ją co prędzej świeżym tytoniem napełnił. “Czyście zbiór kawy już ukończyli? A próba z nową maszyną, którąmy za tak drogie pieniądze do cukrowarni sprowadzili, jakże wypadła?"

“Co się tyczy zbioru kawy, odpowiedział Mikołaj, ten wypadł lepiej, jak spodziewaliśmy się, znacznie bowiem więcej zebraliśmy w tym roku jak lat poprzednich i dla tego jakie sto worków więcej będziemy mogli wysłać do Europy. Zupełnie inaczej ma się rzecz z maszyną. Tą niepodobna ustawić i w ruch wprowadzić, Mój pan przypomina sobie, jakiem to przestrzegał, by takowej nie sprowadzać. Nowości zawsze do niczego. Czy oni tam w tej' starej Europie rozumieją jak urządzać cukrowarnie? A za pieniądze wyrzucone na maszynę, ileżbyto niewolników można było kupić!?"

Pan Wanderstraten schmurzył twarz. “Maszyna, odparł po chwili dobra, tylko ty Mikołaju nie umiesz jej ustawić i w ruch wprowadzić. Dajże więc przynajmniej pokój tym gadaniom, sprowadzę mechanika z Amsterdamu i tem mi ją ustawj."

“Ileż to znowu pieniędzy będzie kosztować, a pieniądz ten będzie również tylko bezużytecznie, wyrzuconym" prawił dozorca. “Prawda, ciągnął drwiąco dalej, mój pan bogaty, cóż to więc szkodzi że wrzuci kilkaset jeszcze dukatów do tej samej otchłani, która tysiące już pochłoniła."

“Będziemy wiedźieć, poczekaj czas jakiś Mikołaju, o tem potem, daj już pokój maszynie."

“Cóż więcej nowego? “zapytał pan Wanderstraten jeszcze bardziej schmurzony.

“Sąsiad nasz doniósł, że skradziono mu zeszłej nocy tłustego wieprza, i że o kradzież tą podejrzywa murzyna naszego Wambę. Rozkazałem więc niezwłocznie przetrząść całe mieszkanie Wamby i w rzeczy samej, znaleziono w jednej z kryjówek owego wieprza, okrytego szczelnie liśćmi pizanu. Raczy więc mój pan pouczyć mnię, co mam z tym łotrem zrobić, a co z wieprzem?"

“Wieprza należy zaraz oddać sąsiadowi, Wambie zaś odliczyć dwadzieścia harapów za apetyt na wieprzowinę," zawyrokował pan Wanderstraten. “Chciałbym, a żeby ten łotr stracił raz na zawsze chętkę do kradzenia!"

“Dalej ciągnął Mikołaj, (gdy już wyrok poprzedni zanotował na tabliczce, którą zwykł zawsze ze sobą nosić) dalej winienem 'donieść, że Westa i Junona pokłóciły się o posiadanie perły szklannej, przyczem Westa Junonie wybiła ząb a nos skaleczyła, nieważając, że perła była własnością Junony."

“Przeklęty naród z temi wiecznemi bijatykami!" zawołał pan Wanderstraten." Wescie wyliczyć dziesięć harapów, Junonie zaś pięć, niechby była o całem zajściu doniosła, a nierozpoczynała bijatyki. Cóż dalej?"

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UFNOŚĆ BEZ GRANIC.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Anna *(sucho).*

Ta ufność bez granic bardzo mi pochlebia, ale na dziś wolałabym twoje towarzystwo bo sama najpewniej na ten wieczór nie pójdę.

Roman.

Ale pójdziesz, moja jedyna, moja najlepsza Anno, pójdziesz i pozwolisz mi zostać w domu i gniewać się na mnie nie będziesz. Nieprawda? (*wyciąga do żony rękę, Anna się od niego odwraca i z gestem nieukontentowania rękę swą chowa. Roman czeka chwilę, jakby się wahał, potem wolno zbliża się ku drzwiom swego pokoju i bierze za klamkę*). Mam nadzieję, że tryumfy, jakie dzisiejszego wieczora odniesiesz, lepiej cię dla mnie usposobią. Będę oczekiwał na twój powrót z niecierpliwością, a jeśli cię znajdę jeszcze na siebie rozżaloną, tu u nóg twoich przebaczenie wybłagam (*odchodzi*).

Anna *(sama).*

Odszedł do siebie i postawił na swojem. O tomu też tylko chodziło.... Ach, któżby był pomyślał, że ten poetyczny, rozkochany, do średniowiecznego Paladyna podobny Roman, po trzech latach pożycia stanie się do takiego stopnia mężem, ale to mężem w najpospolitszem tego słowa znaczeniu.... upartym, ociężałym i tak bardzo pewnym siebie. W tej pewności jego, w tym spokoju uśmiechniętym i zadowolnionym z siebie, które on ufnością bez granic nazywa, jest coś, mnie w niepojęty sposób drażni.... Ach, mówiąc szczerze, jeszcze bardziej podobno mnie drażni ta obojętność i lekceważenie, z jakiemi traktuje on tak zwane sukcesa moje i tryumfy. Ale bo też popełniłam podobno prawdziwy błąd polityczny, dotykając tego przedmiotu, i mam teraz takie uczucie, jakby mnie upokorzenie spotkało. Inna żona na mojem miejscu pomyślałaby o jakim małym i niewinnym odwecie, ale ja.... ja o niczem podobnem myśleć nie mogę.... ja mam wobec mojego męża i pana serce zbyt miękkie, duszę zbyt niewolniczą.... ja już w tej chwili oto martwię się żałuję, żem mu nieco złego humoru pokazała. Cóż robić. trzeba z dobrą fantazyą znieść tę drobną przykrość....
obiecywałam sobie dzisiejszy wieczór spędzić przyjemnie, a spędzę go samotnie, nudno i z jakiemś niezadowolnieniem w duszy....

Roman *(uchylając drzwi do swego pokoju).*

A.... to nie odjechałaś jeszcze?

Anna *(nie odwraca się wcale do męża).*

Widzę, że ci bardzo spieszno, aby mnie się pozbyć z domu.

Roman *(zbliża się do żony).*

Dla czego mi przypisujesz intencyę, której bynajmniej nie mam. Nie pragnę wcale pozbyć się ciebie z domu, ale owszem gorąco pragnę: abyś się na tym balu rozerwała i zabawiła.

Anna.

Popsułeś mi tę rozrywkę twoim uporem i odjąłeś ochotę do wszelkiej zabawy.

Roman *(przyglądając się zbliska toalece żony).*

Jak prześlicznie jesteś uczesaną.... te perły we włosach cudownie się wydają.... podziwiam istotnie ten wdzięk z jakim umiesz zastosować się do wymagań mody, zachowują jednak ową wykwitną prostotę która.... która.... (*Anna ironicznie się uśmiecha*) i tak tunika ukazująca się w obłokach z gazy istotnie czarodziejskie sprawia wrażenie. Wszak to się nazywa tunika?

Anna.

To się nazywa małą nikczemnością mój łaskawy Romanie prawić mi komplementa o mojej toalecie, która ci jest zupełnie obojętna, na którą nie zważasz nigdy, a którą w tej chwili chwalisz, aby połechtawszy moją próżność kobiecą z domu mnie wyprawić. Nie sil się na admiracyę mojej tuniki — wiem jak cię to wiele kosztuje, ale wróć spokojnie do twego cygara i twej lektury — nie myślę ci zakłócać tych rozkoszy i kłaniam uniżenie (*odchodzi do siebie*).

Roman *(sam).*

Odchodzi rozdrażniona na dobre i gotowa zostać w domu. Ale bo też wyprowadziła mnie na takie pole, gdzie mąż musi albo z powagi swej coś uronić, albo mimowolnie żonę sobie narażić. O zaprawdę, te nasze Polki są jedynie w swoim rodzaju. Najlepsze i najrozumniejsze z nich chcą godzić i łączyć nie daje. Pragnęłyby przesuwać się przez najżywszy płomień światowych pokus, nie osmalając sobie seraficznych skrzydeł i zachowując całą nietykalność swej cnoty; mają duszę roztopioną w Bogu, ale z ojczyma wlepionemi w niebo, lubią łykać dym ziemskich kadzideł i rade choć zdaleka napawać się wonią zakazanego owocu—a co najciekawsze, że do pełnego kosztowania tych wszystkich rozrywek duchowych i mniej duchowych potrzebują koniecznie uwielbienia, aprobacyi i ciągłej obecności męża! bo mężów swych kochają, tę sprawiedliwość trzeba im oddać (*słucha pod drzwiami żony*) nie.... nie odjechała, widać że na dobre zostaje w domu. To zmienia położenie rzeczy i psuje cały mój program.... Co za szkoda. Usadowić się na cały wieczór przy domowem ognisku, doskonałe paląc cygaro i z zajmującą książką w ręku doczekać się w błogim spokoju powrotu najwierniejszej żony, jest samolubną może. O takim to Edenie marzyłem na dzisiaj i marzenie moje prysło jak bańka mydlana! Zamiast owej rozkosznej siesty, czeka mnie tutaj w tym salonie wieczór, który mi nic przyjemnego nie wróży. Anna zadraśnięta nieco w swej miłości własnej, przybierze przynajmniej na pół godziny lodowatą postać. Herbata domowa będzie wodnista i rozmowa przy niej także, Pojechanie w końcu nastąpi, ale cóż z tego, kiedy marzony przezemnie Eden rozwiał się w nic i wrócić doń niepodobna. W obecnem położeniu rzeczy i wybierając z dwojga złego, kto wie czy nie lepiej zdobyć się na poświęcenie i towarzyszyć żonie na ów nieszczęsny wieczór (*patrzy na zegarek*). Jeszcze wcale nie pożno. W kwadrans będę ubrany i podam zdziwionej Annie moje ramię, przybrawszy twarz szczęściem promienną. Takim sposobem uniknę chłodnego i ambarasującego sam na sam, a zarazem będę miał w jej oczach zasługę. Tak.... to jest jedyna droga jaka mi zostaje. Pożegnajmy egoistyczne szczęście przy domowym kominku i chodźmy się ubierać (*wychodzi*). *Po wyjściu Romana staje we drzwiach służący, a nie widząc w salonie nikogo, idzie do pokoju Anny i sruka).*

Służący.

Pan Hrabia Rodryg się pyta czy pani przyjmuje?

Anna *(stojąc we drzwiach swego pokoju).*

Powiedziałeś naturalnie, że mnie niema w domu.

Służący.

Nie — bom nie wiedział jak mam mówić i powiedziałem, że pani jest u siebie.

Anna.

To w takim razie prosić (*wchodzi do salonu i siada na kanapie*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)